GLOBALNIE · ANALIZA

PREZYDENT DO WYMAZANIA. CO DALEJ Z TRUMPEM?

Kacper Kita · 26 stycznia 2021

Tydzień przed końcem kadencji Donald Trump stał się pierwszym w historii USA prezydentem dwukrotnie poddanym impeachmentowi przez Izbę Reprezentantów. Między 8 a 14 lutego ruszy jego proces w Senacie. Jeśli Trump zostanie uznany winnym wzywania do przeprowadzenia zamachu stanu, może mu być odebrane prawo ponownego startu w wyborach. Byłoby to też symboliczne napiętnowanie przez zwycięskich Demokratów trumpizmu, przedstawianego jako niezwykle groźny radykalizm, dla którego nie może już nigdy być miejsca w przestrzeni publicznej.

Droga do ataku na Kapitol

Wybory prezydenckie w USA z listopada 2020 zapiszą się jako pierwsze we współczesnej historii USA, w których obaj główni kandydaci uznali się za wygranych. Jakkolwiek podobna sytuacja miała miejsce w 1876, zakończyła się kompromisem, na mocy którego Demokraci ostatecznie uznali zwycięstwo Republikanina w zamian za ich ustępstwa na innych polach. Następnie uregulowano dokładniej procedurę zatwierdzania przez Kongres wyników z poszczególnych stanów. W USA to właśnie Kongres stwierdza ważność wyborów, a nie Sąd Najwyższy, jak choćby w Polsce. Od przyjęcia odpowiedniej ustawy w 1887 do teraz była to czysta formalność.

Już 15 grudnia, gdy Kolegium Elektorskie zgodnie z przewidywaniami potwierdziło wybór Joe Bidena, prezydent Trump i jego współpracownicy zaczęli zapraszać sympatyków do stolicy kraju na 6 stycznia, czyli dzień połączonej sesji obu izb parlamentu formalnie zatwierdzającej wyniki. Przez 5,5 roku obecności w polityce Trump dorobił się prawdziwej armii oddanych zwolenników, której nie miał żaden współczesny amerykański prezydent. Wraz ze zbliżaniem się feralnej daty 6 stycznia narastało napięcie. Republikańscy parlamentarzyści, którzy odważyli się otwarcie zadeklarować, że zagłosują za zatwierdzeniem wyboru Bidena, musieli liczyć się z atakami trumpistów, a niektórzy nawet z nieprzyjemną konfrontacją na ulicy.

Ogrom sympatyków Trumpa – tych w Stanach, ale również w Polsce – przez dwa miesiące trwał w iluzji, że prezydent lada chwila wyciągnie z rękawa swoją tajną, szykowaną na ostatnią chwilę broń. Pojawiały się coraz bardziej fantastyczne scenariusze utrzymania władzy, a myślenie życzeniowe prowadziło tysiące ludzi do wiary w nie. Zatrzymanie wyboru Bidena przez Kongres było od początku do końca niemożliwe z tego prozaicznego powodu, że musiałyby je poprzeć obie izby – a w niższej wyraźną większość mają Demokraci. Choćby więc wszyscy Republikanie „stanęli przy prezydencie", nic by to nie dało. Pojawił się zatem mocno naciągany prawnie pomysł arbitralnego odrzucenia wyników z kontestowanych stanów, w których Trump przegrał o włos – jego zdaniem wskutek fałszerstw – przez prowadzącego z urzędu obrady Kongresu wiceprezydenta Mike'a Pence'a. Ale Pence odmówił Trumpowi udziału w tak ryzykownym przedsięwzięciu.

6 stycznia w stolicy zgodnie z zapowiedzią zebrał się wielotysięczny tłum zwolenników Trumpa. Prezydent zadeklarował, że „nigdy nie uzna się za pokonanego", a wyniki „nie były bliskie – wygrałem wyraźnie", „nikt nie wierzy, że Biden dostał 80 milionów głosów. Dostał 80 milionów komputerowych głosów", „demokraci od lat fałszują wybory, na co pozwalają im słabi, żałośni Republikanie", „Republikanie są jak bokser, który chce walczyć z rękami związanymi z tyłu. Chcą być mili i pełni szacunku dla wszystkich, w tym dla złych ludzi". I kluczowe – „wiem, że wszyscy pójdą stąd na Kapitol, żeby pokojowo i patriotycznie wyrazić swój głos. Dzisiaj zobaczymy, czy Republikanie staną za uczciwością naszych wyborów. Czy staną za naszym krajem". Kończąc wezwał sympatyków, by „walczyli jak diabli (*fight like hell*)". „Pójdziemy Pennsylvania Avenue na Kapitol", by spróbować dać posłom i senatorom „dumę i śmiałość, której potrzebują, żeby odzyskać nasz kraj", dodał Trump.

CZYTAJ TAKŻE: Trzy grzechy główne USA w hegemonicznej rywalizacji z Chinami

Polityczne znaczenie ataku. Zbrojne powstanie?

To za to przemówienie, które doprowadziło do przejęcia na kilka godzin kontroli nad budynkiem Kongresu przez zwolenników Trumpa, Izba Reprezentantów dokonała na nim tydzień później impeachmentu. Postawiony zarzut: „wzywanie do powstania" przeciwko legalnej władzy. Wystąpienie prezydenta było dla niego typowe – dużo ogólników, trafiająca do tłumu retoryka, brak pozytywnych propozycji. Trump nie wezwał swoich zwolenników do przemocy, starć z policją, ustawienia przed budynkiem parlamentu szubienicy, ani skandowania „powiesić Mike'a Pence'a". Ale nie wezwał ich też do żadnych innych konkretnych działań po przybyciu na Kapitol. Trump rozbudził w swoich oddanych zwolennikach gniew, skierował ich na Kongres, deklarując na koniec, że pójdzie tam razem z nimi, a sam umył ręce i wrócił sobie do Białego Domu obserwować rozwój sytuacji.

> Ciężko na poważnie sądzić, że Trump miał przygotowany plan zbrojnego przejęcia władzy. Mógł próbować w tym celu użyć bardzo wielu środków znajdujących się w dyspozycji prezydenta USA, innych niż tłum jego politycznych sympatyków. Gdy przejęli oni kontrolę nad budynkiem parlamentu, Trump milczał, nie próbując kierować ich działaniami, a w końcu wezwał ich do rozejścia. Wydaje się, że w ataku na Kapitol zawiera się sedno prezydentury Trumpa – retoryczna sprawność i zdolność angażowania sympatyków na najwyższym poziomie, a jednocześnie słabość politycznego programu, wykraczającego poza powodowanie chaosu i destrukcję zastanego demoliberalnego status quo.

Jednocześnie, nie sposób zbagatelizować fakt zbrojnego ataku na budynek parlamentu USA pierwszego od 1814 roku, gdy podczas wojny podpalili go brytyjscy żołnierze, wśród ofiar byli zabici i ranni. Pierwszy raz mamy też sytuację, w której prezydent przegrał według oficjalnych wyników walkę o drugą kadencję, ale nie uznał się za pokonanego.

Drugi impeachment

Demokraci, którzy utrzymali Izbę Reprezentantów, jednocześnie zdobywając Biały Dom i Senat (choć w tym ostatnim będą mieli zerowy margines błędu) nie mogli nie wykorzystać szansy na to, by spotęgować

konflikt wewnątrz Partii Republikańskiej, rozdartej między zwolennikami i przeciwnikami byłego już prezydenta. Poza tym, dla wielu z nich atak na Kapitol był potwierdzeniem lęków przed Trumpem postrzeganym jako groźny i autorytarny przywódca planujący obalenie demokracji w USA. To ciekawe obserwować jak najbardziej zagorzali wrogowie i najbardziej zagorzali entuzjaści Trumpa wzajemnie utwierdzają się w przekonaniu o jego potędze i skuteczności, podczas gdy patrząc na to z dystansu nie sposób nie mieć bardziej zniuansowanego obrazu 45. prezydenta USA, na którego podsumowanie kadencji przyjdzie mi jeszcze zapewne jeszcze napisać na naszym portalu.

Kontrolowana przez Demokratów Izba Reprezentantów błyskawicznie dokonała impeachmentu na Trumpie, oskarżając go o wspomniane „wzywanie do powstania". „Za" zagłosowali wszyscy obecni Demokraci oraz 10 Republikanów. Już tu widzimy różnicę z poprzednim impeachmentem i próbą zdjęcia Trumpa z urzędu na przełomie 2019 i 2020 roku. Wówczas żaden Republikanin w Izbie nie poparł ani jednego z dwóch artykułów oskarżenia, a trzech Demokratów zagłosowało przeciw przynajmniej jednemu. Kluczową różnicą jest jednak stosunek Senatu i zasiadających w nim Republikanów do oskarżenia.

Przypomnijmy – procedura wygląda tak, że Izba Reprezentantów zwykłą większością głosów stawia prezydenta USA w stan oskarżenia, a następnie w Senacie odbywa się jego proces. Do uznania prezydenta za winnego potrzebna jest większość dwóch trzecich obecnych na Sali senatorów. Traci on wówczas automatycznie stanowisko głowy państwa. Pierwsza próba zdjęcia Trumpa z urzędu sprzed roku była trzecią próbą impeachmentu w historii i trzecią nieudaną. Z góry skazaną na niepowodzenie, ponieważ kontrolujący wówczas Senat Republikanie jednoznacznie opowiedzieli się za prezydentem, mając na uwadze głównie listopadowe wybory. Jedynie stary wróg Trumpa, Mitt Romney symbolicznie poparł jeden z dwóch artykułów oskarżenia.

Obradom Senatu podczas procesu przewodniczy prezes Sądu Najwyższego. Obie strony przedstawiają swoje argumenty. Senat może powołać świadków. Proces Andrew Johnsona trwał 3 miesiące, Billa Clintona 2 miesiące, pierwszy proces Trumpa tylko 2,5 tygodnia. Stało się tak, ponieważ Republikanie na czele z przewodzącym im od 14 lat senatorem Mitchem McConnellem zablokowali wzywanie świadków i zakończyli proces w najszybszym możliwym terminie uniewinnieniem. Tym razem na pewno nie będą Trumpowi równie przychylni – tym bardziej, że wiedzą już, iż w Białym Domu zastąpi go Biden. Po wyborach Republikanie mają już tylko 50 senatorów. Do wydania wyroku skazującego potrzeba 17 z nich.

W pierwszych chwilach po ataku na Kapitol ponowny impeachment Trumpa wydawał się mało prawdopodobny z powodu oczywistego faktu, że za kilkanaście dni miała i tak skończyć się mu kadencja. Demokraci w Izbie uznali jednak, że można rozpocząć proces teraz, maksymalnie rozpalając narrację o groźnym Trumpie, który w swoich ostatnich dniach w Białym Domu zdolny jest do wszystkiego, jednocześnie mając świadomość, że przeprowadzenie procesu i zdjęcie go z urzędu przed 20 stycznia jest niemożliwe. Tym samym pierwszy raz w historii USA proces prezydenta będzie toczony już po zakończeniu jego kadencji. To scenariusz, który jeszcze trzy tygodnie temu nikomu nie przyszedłby do głowy. Czy konstytucja w ogóle dopuszcza taką ewentualność? Wydaje się, że tak, skoro Senat może prezydenta nie tylko zdjąć z urzędu, ale również skazać na inne kary, np. zakaz ponownego objęcia jakiegokolwiek stanowiska federalnego. Poza tym, jest to jedyny sposób na zakazanie ponownego startu urzędnikowi, który swoje przestępstwo popełnił pod sam koniec kadencji. Stronnicy byłego prezydenta być może będą starali się o zatrzymanie w jego trakcie procesu prywatnego obywatela Donalda Trumpa przed Senatem, na drodze sądowej. Proces jednak ma planowo rozpocząć się między 8 a 14 lutego. Przez kilka tygodni, a

może nawet kilka miesięcy czeka nas polityczny spektakl, zanim senatorowie zdecydują o dalszym losie oskarżonego. Rozpocznie się również dlatego, że taka jest wola polityczna Mitcha McConnella.

CZYTAJ TAKŻE: Młot na liberałów. Tucker Carlson, najpopularniejszy dziennikarz w USA

Trump ma być uroczyście potępiony i wymazany z historii

Demokraci już dostosowali swoją narrację do nowej sytuacji. Poseł Joaquin Castro powiedział wprost w wywiadzie telewizyjnym, że jednym z celów jest „zapewnienie, by Trump nigdy nie mógł już objąć stanowiska, nie mógł starać się o prezydenturę". To swego rodzaju oferta, która ma trafić do establishmentowego skrzydła Partii Republikańskiej – najsilniejszego właśnie w Senacie. Drodzy Republikanie, lepszej szansy na pozbycie się Trumpa mieć nie będziecie – tak brzmi propozycja.

W ten sam ton uderzył wreszcie w swoim przemówieniu inauguracyjnym nowy prezydent Joe Biden. Z jednej strony usłyszeliśmy typowe centrowe frazesy o pojednaniu i zakończeniu konfliktów. Jednocześnie, nowy lokator Białego Domu jako jedno z zadań stojących przed nową administracją wymienił walkę z „białym supremacjonizmem", „natywizmem" i „krajowym (*domestic*) terroryzmem". Te dwa elementy wbrew pozorom składają się w spójną całość. Biden nie ma Amerykanom niczego do zaoferowania oprócz, jak powiedzielibyśmy w Polsce, ciepłej wody w kranie, administrowania krajem i obietnicy politycznej stabilności oraz wytchnienia po konfliktowej erze Trumpa.

Jednocześnie machina państwa w połączeniu z mocno wspierającymi Bidena mediami głównego nurtu ma być nakierowana na nowego wroga numer jeden, wielkie zagrożenie dla tak rozumianej stabilności i ciepłej wody w kranie. Tym wrogiem jest właśnie demoniczny, nietolerancyjny, antydemokratyczny trumpizm, który ostatecznie pokazał swoją prawdziwą twarz podczas ataku na Kapitol. To twarz „radykalnej prawicy", czyli zsekularyzowanego Szatana w demokracji liberalnej po II wojnie światowej. Obrona przed „radykalną prawicą" uświęca wszelkie środki, wszelki atak na „radykalną prawicę" jest usprawiedliwiony jako jedynie uderzenie wyprzedzające. Trump odgrywa tu rolę Hitlera 2.0, groźnego autokraty, którego szczęśliwie udało się „obalić"... przy pomocy kart do głosowania. W przypadku USA najczęściej używaną piętnującą frazą jest „biały supremacjonizm". Jako biały supremacjonista może być zakwalifikowany każdy, kto krytykuje masową imigrację spoza Europy. Ludność pochodzenia stricte europejskiego, która przez zdecydowaną większość historii USA składała się na lwią większość populacji, stanowi już w Ameryce mniej niż 60%. Jest to jedyna grupa, która w większości głosuje na Republikanów. Wspieranie głosowania tożsamościowego (*identity politics*) – nie jestem biały, jestem z mniejszości etnicznej, więc głosuję na Demokratów – jest dziś podstawowym sposobem zdobywania głosów przez tę partię. W oczywisty sposób importowanie sobie wyborców jest prostsze niż przekonywanie ich do siebie jakimkolwiek konkretniejszym programem. Dlatego, jedną z pierwszych rzeczy, jaką zaczęli się zajmować Demokraci po przejęciu Białego Domu, jest właśnie praca nad ułatwianiem imigracji do USA oraz uproszczenie procedur otrzymywania obywatelstwa. Zaprzestanie budowy muru na granicy z Meksykiem to tylko symbol, wierzchołek góry lodowej.

Nietrudno więc zrozumieć, że jeszcze większe znaczenie symboliczne miałoby oficjalne potępienie Donalda Trumpa i uczynienie go jedynym w historii Stanów Zjednoczonych prezydentem uznanym – co prawda post factum – za zasługującego na wyrok skazujący, brak możliwości ubiegania się o urzędy federalne (w tym oczywiście prezydenturę) i symboliczną infamię w postaci odebrania mu prezydenckiej emerytury, opłacanego przez podatników biura, pracowników i ubezpieczenia zdrowotnego. Jedynym przy-

wilejem, który przysługuje każdemu prezydentowi, nawet skazanemu, jest dożywotnia ochrona Secret Service.

Wrogom byłego prezydenta udało się już wykonać pierwszą skuteczną serię ciosów. Po ataku na Kapitol i usunięciu z mediów społecznościowych, Trump praktycznie zniknął z przestrzeni publicznej. Przez ostatnie dwa tygodnie swojej prezydentury właściwie milczał. Co więcej, pod naciskiem mediów, większości Republikanów i Demokratów jednoznacznie potępił atak na Kapitol. Działania swoich najbardziej fanatycznych i zdesperowanych zwolenników, którym wcześniej wmówił, że mogą utrzymać dla niego władzę, których emocje rozbudził i których osobiście skierował na Kapitol, nie podając im konkretnego planu działania, teraz nazwał „haniebnymi". W ostatnim dniu prezydentury pod naciskiem establishmentowych Republikanów zrezygnował zaś z ułaskawienia przeciwników „systemu", takich jak twórca WikiLeaks Julian Assange, Edward Snowden czy Ross Ulbricht, o które apelowało wielu najbardziej nastawionych na walkę z politycznym status quo sympatyków Trumpa. Zamiast nich ułaskawienia otrzymało m.in. dwóch czarnoskórych raperów, izraelski oficer wywiadu prowadzący szpiegów w USA (na stronie Białego Domu uargumentowano to osobistym wstawiennictwem Benjamina Netanjahu) czy Elijahu Weinstein, ortodoksyjny Żyd z siedmiorgiem dzieci, twórca piramidy finansowej (w której obrabiał zresztą innych ortodoksyjnych Żydów). Na dodatek Trump anulował też własny, obiecany w kampanii z 2016 roku i wprowadzony w życie ósmego dnia prezydentury, dekret zakazujący byłym członkom administracji pracy jako lobbyści przez 5 lat od odejścia z rządu. To by było na tyle, jeśli chodzi o słynne „suszenie bagna". Działania Trumpa w ostatnich dniach wywołały wściekłość wielu jego dawnych sympatyków, z których kolejni zaczęli wprost deklarować, że dla dobra ruchu Trump powinien odejść na polityczną emeryturę.

Sytuacja Trumpa była tym gorsza, że atak na Kapitol skutkujący banami na portalach społecznościowych oraz impeachmentem zbiegł się z formalnym stwierdzeniem faktu, że 20 stycznia nastąpi zmiana władzy. Człowiek, który miał być urodzonym wojownikiem i zwycięzcą nie mógł już dłużej udawać, że ma jakiegoś asa w rękawie, za pomocą którego utrzyma się przy władzy. Po raz pierwszy od rozpoczęcia swojej kariery politycznej w czerwcu 2015 roku, to Donald Trump, dotąd bezlitośnie drwiący z „frajerów, słabeuszy i przegrywów", jednoznacznie przegrał. Były już prezydent ewidentnie nie umie się jeszcze odnaleźć w tej sytuacji. Jest podwójnie wytrącony ze swojej roli politycznej. Odebrano mu twitter, jego podstawowy środek komunikacji z wyborcami i odebrano mu jego status skutecznego zwycięzcy, który deklaruje sympatykom, że czeka ich „tyle wygrywania, że aż będą zmęczeni od wygrywania". Tym samym Trump, który dopiero co przestrzegał Republikanów przed tym, że są jak bokser, który ma ręce związane za plecami, sam został sprowadzony do roli pięściarza bliskiego nokautu. Boksera, który słania się na nogach i nie podejmuje już prób ataku, jedynie desperacko próbując zasłaniać się przed kolejnymi ciosami przeciwnika, który właśnie udowodnił swoją przewagę.

> Wyrok skazujący byłby ukoronowaniem wszystkich tych starań i zjawisk, rodzajem przeniesionego ze starożytnej Grecji ostracyzmu. Uroczystym stwierdzeniem przez amerykańską klasę polityczną, że dla osób takich jak Trump, groźnych, antydemokratycznych autokratów i „białych supremacjonistów" nie ma miejsca w przestrzeni publicznej. Oto człowiek, który miał być taranem niszczącym system, potężny, nieustraszony, dumny „amerykański nacjonalista", biały natywistyczny samiec alfa, zostałby rytualnie stracony i złożony w ofierze na ołtarzu demoliberalnego status quo. Stawiający na kult siły Trump przegrał w starciu, w którym liczyła się tylko si-

ła.

Ten człowiek zdecyduje o losach Trumpa

Joe Biden i Mitch McConnell mają ze sobą wiele wspólnego. Jakiś współczesny Plutarch mógłby napisać ich żywot równoległy. Obaj panowie są z rocznika 1942 – McConnell jest dokładnie 9 miesięcy starszy. Biden był 36 lat senatorem ze stanu Delaware, McConnell od 36 lat reprezentuje stan Kentucky (i właśnie uzyskał mandat na kolejne 6 lat). Biden szybciej trafił do Kongresu i bardziej ciągnęło go do władzy wykonawczej – prezydentem próbował zostać już w 1988, a potem w 2008. Do trzech razy sztuka. McConnell doskonale odnalazł się z kolei na pozycji lidera swojej partii w izbie wyższej, czyli de facto – gdy Republikanie mają akurat większość w Senacie – najsilniejszego polityka w całym Kongresie. Republikanom szefuje już 14 lat, co czyni go najdłużej urzędującym przywódcą partii w całej jej historii. Obaj oczywiście doskonale się znają, bo aż 24 lata zasiadali wspólnie w Senacie. Gdy w 2015 roku w wyniku choroby zmarł syn Bidena, Beau, McConnell był jedynym senatorem Republikanów, który poszedł na jego pogrzeb. Przede wszystkim zaś zarówno Biden, jak i McConnell cieszą się zasłużoną opinią pragmatycznych reprezentantów centrów swoich partii.

McConnell jest konsekwentnym pragmatykiem, nie należy do tych establishmentowców, w rodzaju Johna McCaina, którzy do końca atakowali Trumpa jako „fałszywego Republikanina", którzy nawet przed wyborami w 2016 roku nie popierali go w pojedynku z Hillary Clinton. Kiedy tylko było jasne, że Trump zdobędzie nominację Partii Republikańskiej, McConnell go szybko poparł i konsekwentnie popierał – choć w prywatnych rozmowach miał wielokrotnie stwierdzać, że brzydzi się prezydentem. Interes Partii wydaje się być u McConnella na pierwszym miejscu. Taktyczny sojusz między „radykalnym" trybunem ludowym, a do bólu nudnym, rzadko choćby się uśmiechającym, za to bardzo skutecznym w grze parlamentarnej senatorem o aparycji starego żółwia został przypieczętowany, gdy sekretarzem (odpowiednik ministra) transportu w administracji Trumpa została żona McConnella. Steve Bannon już po opuszczeniu Białego Domu skarżył się, że to właśnie McConnell blokuje „narodowo-populistyczną" agendę, którą chciał przeprowadzać w Białym Domu Trump, skupiając się na działaniach takich jak nominacje sędziowskie i obniżki podatków. To sprawności McConnella możemy na pewno przypisać fakt błyskawicznej nominacji Amy Coney Barrett do Sądu Najwyższego.

CZYTAJ TAKŻE: Robotnicy albo korporacje. Republikanie muszą wybrać

Po listopadowych wyborach McConnell jak zwykle wyczekiwał, nie popierając twierdzeń Trumpa o fałszerstwach, ale nie nazywając również Bidena zwycięzcą. Ale gdy Kolegium Elektorskie wybrało Demokratę prezydentem i stało się całkowicie jasne, że Trump nie ma już żadnego „asa w rękawie", McConnell tego samego dnia z własnej inicjatywy na forum Senatu (nazwał Bidena?) prezydentem-elektem. Choć już po wyborach docierały do mediów informacje, że otoczenie McConnella negocjuje z Bidenem skład jego gabinetu, który będzie wymagał zatwierdzenia w Senacie.

Po zamieszkach na Kapitolu McConnell długo milczał, znów czekając na rozwój sytuacji. Po kilku dniach jednak jego żona demonstracyjnie złożyła dymisję, odchodząc z administracji Trumpa na 9 dni przed końcem kadencji. Następnie, gdy rozpoczął się impeachment w Izbie Reprezentantów, do „New York Timesa" wypuszczono informację, że McConnell uważa, że Trump popełnił przestępstwa kwalifikujące go

do wyroku skazującego. Potem dowiedzieliśmy się, że McConnell kazał przekazać Trumpowi, że jeśli ułaskawi Assange'a, szanse, że zostanie skazany w Senacie znacząco wzrosną. Co znaczące, kazał mu to przekazać, nie powiedział mu tego osobiście. A równolegle wypuścił do mediów informację za pośrednictwem swoich podwładnych, że „ma nadzieję już nigdy nie musieć rozmawiać z tym człowiekiem". Wreszcie 19 stycznia, dzień przed zmianą w Białym Domu, McConnell uczynił wydarzeniem swoje pojawienie się w Senacie i wypowiedział jednoznaczne słowa – „motłoch, który dokonał ataku na Kapitol był karmiony kłamstwami i sprowokowany przez prezydenta".

Dlaczego McConnell tym razem może poprzeć skazanie Trumpa? Po pierwsze, ponieważ obwinia go o utratę większości w Senacie. Po drugie, gdyż dla establishmentowego skrzydła Partii Republikańskiej Trump był zawsze ciałem obcym. McConnell i jemu podobni pragmatycznie współpracowali z Trumpem, dopóki był prezydentem. Jednak skoro przegrał, to nie ma już dla nich wartości. Po trzecie, wielu z nich uważa jego porażkę za dowód, że trumpizm był szkodliwą dla Republikanów chwilową aberracją, która nie sprawdziła się w dłuższej perspektywie. Jeśli McConnell uzna Trumpa za szkodnika, to będzie chciał się go trwale pozbyć, odbierając mu możliwość ponownego startu. Tymczasem stary żółw z Kentucky jak zwykle wyczekuje, obserwując rozwój sytuacji i zachowując pole manewru. Zadeklarował, że „będzie obserwował proces" i po wysłuchaniu obu stron podejmie decyzję jak głosować.

Po skazaniu prezydenta, Senat większością 2/3 głosów, mógłby nałożyć na niego dodatkową karę, taką jak zakaz ponownego startu w wyborach czy zabranie emerytury i przywilejów byłego prezydenta. Co ważne, do nałożenia takich sankcji na skazanego wystarczy już zwykła większość głosów. Mamy więc tutaj furtkę dla niechętnych Trumpowi Republikanów, którzy mogliby zagłosować jedynie za uznaniem go za winnego, a przeciw zabronieniu mu ponownego startu – z pełną świadomością, że przykładają rękę dokładnie do tego. Ale mogliby mówić wyborcom, że to przecież nie oni.

Wśród 50 senatorów Republikanów mamy kilkoro ewidentnie wrogich Trumpowi. Dwoje wezwało go jeszcze jako prezydenta, by ustąpił – Murkowski i Toomey. Do tego Romney, który już raz poparł zdjęcie Trumpa z urzędu, zawsze dystansująca się od Trumpa Collins, wrogi Trumpowi Sasse. Trump może uznać za pewnych jedynie ośmioro senatorów, którzy zagłosowali przeciwko uznaniu wyników wyborów. Łącznie mamy 11 senatorów Republikanów, którzy nie poparli go przeciwko Bidenowi. Do tego Toomey, który go poparł, teraz wezwał do ustąpienia. To już dwanaścioro potencjalnie głosujących „za" skazaniem Trumpa, których McConnell mógłby do tego łatwo zachęcić i łatwo wesprzeć głosem swoim oraz swoich najbliższych sojuszników.

Większość republikańskich senatorów nie jest ani zdecydowanymi sojusznikami, ani zdecydowanymi przeciwnikami Trumpa. Nie wiemy więc, jak się zachowają. Jest jednak wysoce prawdopodobne, że jeśli Mitch McConnell zdecyduje o skazaniu Trumpa, to do niego dojdzie – a jeśli nie, to senatorów gotowych wziąć na siebie gniew sympatyków byłego prezydenta nie znajdzie się aż siedemnaścioro. Dla przeciętnego senatora najwygodniejszym wyjściem z sytuacji jest twierdzenie, że proces jest niekonstytucyjny, skoro Trump nie jest już prezydentem. Na ten moment szanse na skazanie Trumpa piszący te słowa osobiście ocenia na około 30%.

W starciu Systemu z Trumpem, ten pierwszy obecnie zdecydowanie wygrywa. Czy były prezydent znajdzie w sobie siłę i wolę, by pozostać zaangażowany politycznie i powalczyć o utrzymanie się w grze? Przed atakiem na Kapitol i późniejszym kryzysem Trump wojowniczo deklarował współpracownikom, że

najwyżej wystartuje znowu w 2024, a wcześniej będzie dążył do zachowania kontroli nad Partią Republikańską. W najbliższym czasie nieuchronnie jego uwagę zaprzątał będzie proces przed Senatem. Niezależnie jednak od tego, czym się on zakończy i od tego, że personifikacja establishmentu (Biden) pokonała najpierw najsilniejszego lewicowego (Sanders), a później najsilniejszego prawicowego (Trump) kontestatora, nie ma powrotu do status *quo ante trumpum*. Do stanu sprzed 2016 roku, w którym karty rozdają jedynie ludzie tacy jak Biden i McConnell, reprezentanci „dwupartyjnego konsensusu" i „rozsądnego centrum". A w polityce żadna bitwa nie jest nigdy ostatnią.

Fot. pixabay.com

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/prezydent-do-wymazania-co-dalej-z-trumpem/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć